

Efekt magmy, czyli o szczególnej roli Kościoła w Polsce

Agnieszka Graff

Tego jednego bowiem Kościół w warunkach demokracji wciąż się nie nauczył: że jest tylko jedną ze światopoglądowych opcji.

Kinga Dunin

Polska jest krajem katolickim. Truizm? Stwierdzenie faktu? Jeśli istotnie mamy do czynienia z faktem – o wątpliwościach za chwilę – to wynika zeń cała gama innych faktów, dużo bardziej uchwytnych: kształt ustawy antyaborcyjnej, obecność religii w szkołach publicznych i nieobecność w tychże szkołach edukacji seksualnej, wpływ Episkopatu na kształt diskutowanych obecnie regulacji prawnych dotyczących *in vitro*, uprzywilejowany status Kościelnej Komisji Majątkowej, udział duchownych Kościoła katolickiego w świeckich, wydawałoby się, uroczystościach, i wreszcie, nieuchronność głosu księdza jako autorytetu moralnego w debatach publicznych, zwłaszcza tych, które dotyczą etyki seksualnej i praw reprodukcyjnych.

„Katolicyzm w Polsce” – powtórzę to za Magdaleną Środą – „jest czymś więcej i czymś mniej niż religią. Czymś więcej, bo nie jest tylko wiarą, ale sposobem bycia, postrzegania świata, kryterium klasyfikowania ludzi, przedmiotem mody, fascynacji, snobizmu, otwartym nośnikiem władzy i ukrytym nośnikiem cenzury (a na pewno autocenzury). (...) Jest też czymś mniej niż wiarą religijną, bo nader często sprowadza się do powierzchownych rytuałów”. Jesteśmy krajem tak bardzo katolickim, że nawet ateści są tu w większości katolikami. Co prawda, niewierzącymi, ale za to praktykującymi. Z badań wynika, że ogromna większość z nich bierze śluby kościelne (71%) i chrzci dzieci (74%). Taki klimat, taka aura, czy – jak mówi pewna moja znajoma katoliczka – taka karma. A skoro o karmie mowa, to warto przytoczyć inne ciekawe dane (z 2006 roku, ale zapewne aktualne) – otóż 28% polskich katolików wierzy w... reinkarnację.

Polska jest krajem katolickim – słyszymy to zawsze, gdy ktoś odwoła się do konstytucyjnej zasady autonomii państwa i kościoła, by zakwestionować władzę Kościoła. Okazuje się wtedy, że w katolickim kraju autonomia ta ma być *przyjazna*. Brzmi rozsądnie... ale co to właściwie znaczy? Czy katolicy zrezygnują z krzyży w punkcie wyborczym w mojej dzielnicy, uznając moją *autonomię*, czy też ja mam *przyjaźnie* udawać, że krzyży nie widzę? Zastanawiającą karierę zrobiło w tych sporach słowo *kompromis*, konsekwentnie używane do karcenia niepokornych. Jak to? Nie chcesz *kompromisu*? Pragniesz *ideologicznej wojny*? Ten zabieg latami służył wyciszeniu debaty publicznej o skutkach ustawy antyaborcyjnej – każdą próbę poddania refleksji obowiązującego prawa *a priori* uznawano za przejaw konfliktowości. Ustalenia prawne dotyczące praw reprodukcyjnych po 1989 roku to seria „kompromisów”, które katolicy zawierali z katolikami, przekonani, że w ten sposób

umacnia się polskość, czyli normalność. *Kompromis* okazywał się niezmiennie aktem przemocy i wykluczenia w imię woli katolickiej większości.

Przypomnijmy kluczowe wydarzenia z historii praw reprodukcyjnych we współczesnej Polsce. Rok 1990: Zjazd Solidarności, na którym Komisja Kobiet opowiada się za prawem do aborcji. Efekt: władze związku likwidują Komisję Kobiet. Rok 1992 – spontaniczny ruch na rzecz referendum w sprawie aborcji, tzw. komitety Bujaka – zapewne największy po 1989 zryw społeczeństwa obywatelskiego – zbiera grubo ponad milion podpisów. Efekt: petycja zostaje zignorowana przez Sejm.

Zdanie *Polska jest krajem katolickim* to nie stwierdzenie faktu, ale coś w rodzaju zaklęcia, samospełniająca się przepowiednia legitymująca istniejący układ sił. Przekonanie, iż *Polska jest krajem katolickim*, jest jak magma, w której wszyscy – katolicy i niekatolicy – grzęźniemy. A im bardziej grzęźniemy... tym bardziej grzęźniemy. Tak się do magmy przyzwyczailiśmy, że nie pytamy już, dlaczego pod nogami jest tak miętko, dlaczego wokół tak ślisko i duszno. A to paruje bulgocząca magma, a my wdychamy jej mdłe opary.

Ktoś, kto mówi *Polska jest krajem katolickim*, nie opisuje żadnej pozajęzykowej rzeczywistości, ani nie proponuje dyskusji. To zdanie funkcjonuje na podobnych prawach co zdanie *This is a free country* w Stanach Zjednoczonych. Nie jest sądem, ani poglądem. To raczej dziwna krzyżówka tautologii, zaczepki, roszczenia i wezwania do boju. Zdanie to stanowi świetny przykład austinowskiego perlokucyjnego aktu mowy, czyli takiej wypowiedzi, która nie tyle opisuje, ile wywołuje zmianę w świecie realnym. W przypadku naszego zdania zmiany dokonują się stopniowo, a siła zaklęcia rośnie wraz z jego użyciem. Polska jest coraz bardziej „katolickim krajem” w miarę, jak wszyscy to powtarzamy. A powtarzamy często – wyszukiwarka *google* podaje od ręki 180 tysięcy przykładów.

Akty mowy tworzą rzeczywistość, powołując do życia pewien kontekst komunikacyjny, który czyni je zrozumiałymi. *Żyjemy w katolickim kraju* – to akt pod tym względem mistrzowski. Ja-katolik deklaruje iż, jestem tu u siebie. Jednocześnie sugeruję, że Ty-katolik, też jesteś Polakiem. Przywołuję zatem lojalność rozmówcy, buduję poczucie wspólnoty, obcych przywołując do porządku. Oni są nietutejsi. Polski katolicyzm jest jak koniowatość konia, jak buraczaność barszczu. Z czego się robi rosół? Z włoszczyzny. Czym jest katolicyzm? Wiarą Polaków. Jaka jest Polska? Katolicka. Zaraz, zaraz, o czym my właściwie mówimy? Czy „kraj” to społeczeństwo, państwo, czy może naród? Społeczeństwo (wiemy to z licznych badań) nie podziela opinii Kościoła na wiele tematów i w większości nie traktuje go jako autorytetu w kwestiach obyczajowych. Państwo polskie nie jest, jeśli wierzyć Konstytucji, wyznaniowe. A Naród? Tak, zapewne chodzi o Naród... ale o Narodzie póki co nie podejmuję się dyskutować. O Narodzie napiszę później. Dalej: czy „katolicyzm” oznacza wiarę? Obyczaj i tradycję? Wpływ jednego z wyznań na politykę? Brak precyzji – bulgocząca magmowatość – jest siłą tego zdania. *Bul bul bul, Polska to kraj katolicki* – bulgocze magma, *bul bul, a jak Ci się nie podoba, to się wynoś. Bul bul, nie wiesz, o co chodzi? Bul bul, widać nie jesteś stąd...*

Chcicie wiedzieć, komu bulgocze magma? Otóż ona bulgocze wszystkim po trochu, ale jakoś bardziej kobietom niż mężczyznom. Dlaczego? Bo Kościół szczególną wagę przywiązuje do sfery ludzkiej seksualności i rozrodczości, a te zarówno w warstwie fizjologicznej, jak i kulturowej stanowią przestrzeń, w której kobiety są zarazem bardziej odpowiedzialne, jak i bardziej bezbronne, narażone na zranienie i stratę. Dlatego myślę, że te ateistyczne śluby i chrzty to jest – jak by to ująć? – efekt jakiejś kobiecej sprawy z Kościołem. Podobnie rozumiem masowy udział dzieci ateistów w lekcjach religii. Niby opcjonalne, w praktyce okazują się przymusowe. Na czym ten przymus polega? Na lęku

przed wykluczeniem, odrzuceniem, stygmatyzacją, które zawsze stanowią źródło cierpienia, ale szczególnie dotkliwie ranią dzieci. Zaś cierpienie dzieci – czy choćby jego prawdopodobieństwo – automatycznie staje się przedmiotem troski ich mam. One martwią się bardziej niż ojcowie, bardziej od ojców czują się winne, choćby dlatego, że są bardziej od ojców rozliczane. Nie przypadkiem to głównie kobiety dyskutują zawzięcie na rozmaitych forach internetowych, czy ateista w Polsce powinien ochrzcić dziecko. To nie są dylematy filozoficzne, lecz praktyczne i emocjonalne kłopoty, wynikające z obawy, że ktoś zrobi przykrość dziecku, z niepokoju, że okażemy się nie dość dobrą matką. Czy wobec tych obaw problemy ideologiczne związane z wolnością przekonań mają jakieś znaczenie? Raczej nie. Oto próbka tych rozterek:

„Chciałabym, aby mój syn sam w przyszłości wybrał, w co chce wierzyć, a nie, żeby od maleńkości podnosił statystyki naszego kościoła. Rodzina by pewnie krzywo patrzyła, ale ja bym tak chciała. Ale.... to moje pragnienia. A dziecko? Czy nie będzie czuło się pokrzywdzone, tym, że jako jedyne nie przystępuje do komunii świętej? (...) Czy nie będzie się czuło gorsze w szkole? Czy z tego względu mam ochrzcić dziecko, zacząć przyjmować księdza po kolędzie itd., dla dziecka?”

Nie wierzę w „naturalny konserwatyzm” kobiet. Przypisywałabym im raczej odruchowy konformizm, wymuszony w dużej mierze kulturowym nakazem, by rozmaite rzeczy robić wbrew sobie „dla dziecka”. Inny wymiar tej presji to moc zawstydzania – dawniej nazywało się to „hańbą” kobiet. Kościelna kuratela teoretycznie dotyczy całej sfery wartości, ale częściej słyhać biskupów ferujących wyroki na temat rzekomych „niegodziwości” w życiu intymnym i rodzinnym niż na temat niesprawiedliwości i krzywdy w sferze ekonomicznej, nie mówiąc o okrucieństwie wobec zwierząt. Kościół interesuje się seksem i rozrodczością bardziej niż innymi sferami życia, co z perspektywy feministycznej oznacza po prostu, że interesuje go kontrolowanie kobiet. Władza Kościoła w tej sferze – w której, dodajmy, duchowni z definicji niejako nie mogą mieć żadnych doświadczeń życiowych – jest ogromna.

Jest to moc pokrewna władzy patriarchalnego ojca w tradycyjnej rodzinie. Często po cichu się z nim nie zgadzamy, ale nikt mu się otwarcie nie sprzeciwi. Ojciec feruje wyroki, potępia, piętnuje, wygłasza niekończące się przemówienia tonem wszechwiedzy i tłumionej pretensji. A reszta rodziny? Nawet jeśli nie daje się zastraszyć, zawstydzić, napiętnować, czy zanudzić, to przecież wciąż, chcąc nie chcąc, słucha tyrad tatusia. Tak jest z księżmi w polskich mediach. W toczącej się w ostatnim okresie debacie publicznej dotyczącej rozwiązań prawnych dotyczących leczenia niepłodności ekspertami byli biskupi. Księża i tylko księża komentowali latem 2009 roku etyczny wymiar konfliktu między matką surogatką, która postanowiła zatrzymać przy sobie dziecko, a niepłodną parą, która ją zatrudniła. Zmagania 14-letniej Agaty, która starała się o aborcję, wieloletnia walka Alicji Tysiąc – każdy z tych przypadków był wielokrotnie omawiany w sferze publicznej przez duchownych.

Uprzywilejowana pozycja Kościoła jako dysponenta wartości rzadko bywa dyskutowana w głównym nurcie debaty publicznej. W ostatnich latach – zwłaszcza po śmierci Jana Pawła II – otworzyła się jednak pewna luka, pęknięcie, przez które da się wypowiedzieć otwartą krytykę Kościoła, nie narażając się na skojarzenia z Jerzym Urbanem. Ta luka to narracja naiwno-melancholijna: o bezgranicznej wdzięczności, zawiedzionych nadziejach i głębokiej żałobie. Wdzięczność dotyczy Kościoła jako sojusznika demokratycznej opozycji, ostoi

polskości w mrocznych czasach. O zawiedzionych nadziejach mówi się w odniesieniu do Kościoła, który w ostatnich latach skręcił na prawo. Tu zwykle pada wymawiane z rytualnym wstrętem nazwisko Tadeusza Rydzyka. Wreszcie, deklaracja żałoby po Janie Pawle II pozwala osobie krytykującej Kościół, nawet jeśli jest niewierząca, bezpiecznie usytuować się jednak po stronie Kościoła. Wsłuchajmy się we wzorcową wersję tej opowieści. Mówi Adam Michnik:

„Moje nadzieje, że polski Kościół będzie Kościołem Ewangelii bardziej niż Kościołem instytucji, się nie sprawdziły. Dziś więcej jest we mnie pokusy antyklerykalnej niż wysiłku rozumienia. I mimo że tę pokusę staram się powściągać – z przyczyn politycznego oportunistu i ogólnozyciowego tchórzostwa – to jednak ona jest we mnie. Gdy czytam większość pism, które się identyfikują z katolicyzmem, mam poczucie obcości i niepokoju. Tego poczucia nie miałem, przez lata czytając «Tygodnik Powszechny», «Więź» i «Znak» czy encykliki i homilie Jana Pawła II. Coś się zmieniło. Adam Szostkiewicz napisał w «Polityce» artykuł, w którym użył sformułowania «de-Wojtylizacja polskiego katolicyzmu». Myślę, że coś w tym jest. (...) To, co się dziś dzieje w polskim katolicyzmie, oceniam jako regres w stosunku do tonu, który proponowali Jan Paweł II, Tischner, Turowicz, Mazowiecki. (...) Zabrakło Jana Pawła II”.

Oczywiście zgadzam się z Michnikiem, że Kościół skręcił w prawo. A jednak nie satysfakcjonuje mnie opowieść o Kościele, który za komuny ukochał demokrację i pluralizm, potem tę demokrację wspierał, by po śmierci papieża stoczyć się na pozycje neo-endeckie. W tej opowieści jest luka mniej więcej dekady, która z perspektywy historii praw kobiet ma znaczenie kluczowe. Nie ma tu ani wysiłków Kościoła, by ograniczyć prawa kobiet, ani wysiłków kobiet, by się temu przeciwstawić, ani uległości kolejnych rządów wobec presji biskupów. Przypomnijmy raz jeszcze: rok 1990 – Zjazd Solidarności likwiduje Komisję Kobiet za niepokorny stosunek do kościelnej wizji praw kobiet. Rok 1992 – nie dochodzi do referendum w sprawie aborcji mimo wielkiej obywatelskiej akcji. Warto też cofnąć się jeszcze dalej, do początku lat osiemdziesiątych. Przecież antyaborcyjna kampania Kościoła – wystawy z wizerunkami poćwiartowanych płodów w kościołach, dystrybucja filmu *Niemym Krzyk*, organizowanie marszów „za życiem” – zaczęła się za pierwszej *Solidarności*. I jeszcze jedna data: rok 2002 i List Stu Kobiet do Parlamentu Europejskiego. Zawierał on rzadki trzeźwy opis relacji na linii państwo-kościół-kobiety w kontekście nadchodzącego referendum w sprawie wejścia Polski do Unii. Przytoczę jedno kluczowe zdanie: „W kuluarach integracji Polski z Unią Europejską odbywa się zatem swoisty handel prawami kobiet, pokrywany charakterystycznym, stronniczym sposobem mówienia (...)”.

Niedawno wpadła mi w ręce wznowiona przez wydawnictwo „Gazety Wyborczej” książka Michnika z 1976 roku *Kościół Lewica Dialog* – zdumiewający z dzisiejszej perspektywy zapis ówczesnej fascynacji Kościołem samego Michnika i – szerzej – środowiska opozycyjnej lewicy laickiej. Raz po raz Michnik odcina się tu od spuścizny Boya Żeleńskiego, proponuje „dialog z chrześcijaństwem” jako „spotkanie w antytalitarym oporze”, wczuwa się w duchowe przemiany swoich laickich przyjaciół szukających w transcendencji wewnętrznego ładu, marzy o sojuszu „lewicy laickiej z lewicą katolicką”. To nie jest moja bajka. Dorastałam w latach osiemdziesiątych, jako dziecko dwojga ateistów posyłane na religię „dla świętego spokoju”, ochrony przed antysemityzmem oraz dla zaakcentowania oporu przeciw systemowi. Kościół miał mi do zaoferowania nie tyle transcendencję, ile uniesienia narodowe w pro-lajferskim sosie. Gdy jako nastolatka wróciłam do domu rozemocjonowana *Niemyim Krzykiem*, z ustami pełnymi frazesów o

„życiu poczętym”, mama dała mi do przeczytania *Piektó kobiet* Boya, które po pierwszym szoku wydało mi się książką nader rozsądną i aktualną.

Nie potrafię się odnaleźć w opowieści Michnika o „dewoptylizacji”, o wdzięczności, zawiedzionych nadziejach i żałobie po Ojcu Świętym. Ja nie płakałam po papieżu, a jeśli nie nosiłam też koszulki z napisem „nie płakałam po papieżu”, to dlatego, że jestem z natury ostrożna. W kluczowej dla mnie kwestii – stosunku do praw reprodukcyjnych i etyki seksualnej – Kościół pozostaje przecież wierny Wojtyłce, czyli niezłomny, niezłomnie wrogi kobietom. Tak było za czasów Boya, za komuny, za pierwszej Solidarności, w połowie lat dziewięćdziesiątych... i tak jest obecnie. Rzec jednak w tym, że te prawa kobiet nie są istotnym tematem w rozważaniach Michnika, nie stanowią nawet trzecioplanowego wątku w opowieści o Polsce, o lewicy laickiej, o jego własnych zmaganiach z Historią i Absolutem. Michnik przyciśnięty do ściany powie najwyżej żartem (jak w cytowanym tu już wywiadzie), że podczas debaty w siedzibie Agory „feministki zdjęły mu spodnie przez głowę”, oskarżając go, iż jest „agentem Kościoła”, ale przecież nie traktuje on naszych zarzutów serio. Jesteśmy nieważne. Nie ma nas nawet w przypisach. Transakcja, którą my uważamy za złamanie reguł demokracji, za podłość i okrucieństwo, była z jego punktu widzenia niezłym interesem. Dawni przedstawiciele opozycji demokratycznej oddali Kościołowi prawo kobiet do wyboru w zamian za poparcie biskupów wejścia do Unii. Prawa kobiet w zamian za TAK w referendum, jak zauważa ironicznie Kazimiera Szczuka w filmie *Podziemne państwo kobiet*, to nie była dla nich cena wysoka.

Kościół, *a priori* uznawany za ostoję polskości, depozytariusza tradycji, domagał się odebrania kobietom ich praw. Więc im je odebrano. Po co? Aby Polska była Polską. Stało się – jesteśmy w Unii, a przejawem naszej autonomii (wynegocjowanej pracowicie i zapisanej w traktacie akcesyjnym) jest uległość władz wobec hierarchów Kościoła. Kościół raz otrzymanej daniny zwracać nie zamierza, przeciwnie, okopał się na raz zajętych pozycjach. Jego władza rośnie, nie maleje. Prawa reprodukcyjne podlegają dalszej atrofii. Dziś nie mówimy już nawet o szansach na legalizację aborcji. Zastanawiamy się rozpaczliwie, jak przeciwstawić się projektowi zakazania *in vitro*.

Pora nazwać magmę, określić jej skład. Magma, w której wyziewach żyjemy, to stop upolitycznionego katolicyzmu z tożsamością narodową, tożsamością, dodajmy, *a priori* uznaną za jednorodną, niezmienną w czasie. Są to przekonania ideologiczne przejęte bezkrytycznie z lat osiemdziesiątych, z okresu walki z totalitarnym systemem. Ideologiczne w tym sensie, że tworzą pewien spójny obraz rzeczywistości społecznej, zarazem go konserwując, że są to przekonania zbiorowe raczej niż jednostkowe, a przede wszystkim, że nie podlegają weryfikacji, ale regulują zbiorowe zachowania. Założenia tej ideologii rzadko bywają wypowiedane *explicite* – dominuje mdła, magmowata mowa-trawa. O przyjaźni, kompromisie, wielowiekowej tradycji, wielkich zasługach Kościoła w walce z totalitaryzmem.

W ważnej książce p.t. *Krytyka solidarnościowego rozumu* Sergiusz Kowalski pokazał, jak kształtowały się niekwestionowane później kategorie i założenia rządzące mentalnością pierwszej „Solidarności”. Kluczowa dla tego sposobu myślenia i przeżywania świata była kategoria „większości” pojmowanej jako pewien opierający się totalitarnej władzy monolit. Słowo „demokracja” powtarzano w tym formatywnym dla późniejszej wolnej Polski okresie jak mantrę, ale towarzyszący walce o demokrację obraz świata daleki był od światopoglądowego pluralizmu. Nieustannie odwoływano się do większości idealnej, do

Narodu przeciwstawionego Komunie. Byliśmy MY i byli ONI. Temu, co „prawdziwie polskie”, autentyczne, nasze, przewstawiano to, co „peerelowskie”, a zatem sztuczne, nienaturalne. ONI to był bezduszny, kłamliwy system. MY dysponowaliśmy prawdą, reprezentowaliśmy Naród. Kluczowa dla tego obrazu świata była więź z przeszłością, zaś medium łączącym solidarnościowe teraz z przedpeerelowską dawniej, był katolicyzm. Stąd niekwestionowany autorytet Kościoła katolickiego.

W kontekście początku lat osiemdziesiątych zdanie *Polska jest krajem katolickim* stanowiło wyzwanie rzucone opresywnemu systemowi. W demokracji liberalnej to samo zdanie ma jednak sens zgoła inny: jest zaprzeczeniem demokracji, ogłoszonym z pozycji neo-endeckich. Dziś wypadaloby jasno określić, co w tym zdaniu oznacza słowo *kraj*. Nikt jednak – z wyjątkiem skrajnej prawicy – nie powie nam tego otwarcie. Warto zatem przytoczyć klasyka myśli narodowo-katolickiej, który skład polskiej magmy narodowo-katolickiej w jej wersji przedwojennej opisał jasno i uczciwie:

„Państwo polskie jest państwem katolickim. Nie jest nim tylko dlatego, że ogromna większość jego ludności jest katolicką, i nie jest katolickim w takim czy innym procencie. Z naszego stanowiska jest ono katolickim w pełni znaczenia tego wyrazu, bo państwo nasze jest państwem narodowym, a naród nasz jest narodem katolickim. To stanowisko pociąga za sobą poważne konsekwencje. Wynika z niego, że prawa państwowe gwarantują wszystkim wyznaniom swobodę, ale religią panującą, której zasadami kieruje się ustawodawstwo państwa, jest religia katolicka, i Kościół katolicki jest wyrazicielem strony religijnej w funkcjach państwowych”.

Słowa te pochodzą z 1927 roku. A jednak jestem przekonana, że obecny stan relacji państwo-Kościół to jedynie efekt rozwodnienia twardej myśli endeckiej. Konsystencja jest inna, skład ten sam. Nie przypadkiem pomnik Romana Dmowskiego od kilku lat stoi na jednym z warszawskich placów. Nie przypadkiem wznowionych niedawno przez wydawnictwo Krytyki Politycznej *Naszych okupantów* Tadeusza Boya Żeleńskiego czyta się – i to nie tylko za sprawą komentarzy Kazimierzy Szczuki na marginesie – jak współczesną publicystykę. *Bul bul*, drodzy rodacy, *Polska jest krajem katolickim*. I tylko, *bul bul bul*, Boya Żeleńskiego nie ma wśród nas.

Gdy czuję się podduszona oparami magmy, gdy zaczynam słyszeć jej bulgot we własnych myślach, wracam do świetnego eseju Kingi Dunin, opublikowanego w 2002, ale nadal, niestety, aktualnego, p.t.: *Czarny ford i dwugłowe ciele, czyli Polak idzie do Unii*. Dunin uchwyciła w nim z właściwą sobie ironią ten zdumiewający w gruncie rzeczy stan rzeczy: z jednej strony wszechobecność i wszechwładza Kościoła w polskim życiu publicznym, z drugiej – całkowite przemilczenie tego faktu przez uczestniczących w debacie publicznej (często: debacie nad kształtem debaty) światłych liberałów. Dunin stara się tu nazwać i opisać to, co ja nazywam efektem magmy. Píše o „świętym lęku, który towarzyszy ludziom chcącym uchodzić za przyzwoitych i rozsądnych, kiedy mają jasno wypowiedzieć się w sprawach, które na mocy niepisanej umowy leżą w gestii Kościoła”. Píše o symbolicznej funkcji Kościoła, którą uznają wszyscy, czemu „towarzyszy gotowość do deklaratywnego ulegania mu we wszystkich kwestiach zwanych moralnymi”. Siła tego tekstu polega na swobodzie zadawania pytań podstawowych, których nikt nie ośmiela się w Polsce postawić. Jakie jest miejsce języka kościelnego w pluralistycznym społeczeństwie? Jaką właściwie rolę w liberalnej debacie publicznej może pełnić instytucja posiadająca w swoim mniemaniu monopol na jedyną i pochodzącą od Boga prawdę? Jak to jest, że biskupi wypowiadają się w imieniu Narodu jako całości? Dunin pyta też przekornie o relację między owym Narodem a realnie żyjącymi w Polsce ludźmi: „Jaką to grupę czy interesy reprezentuje Kościół? (...)

W czyim właściwie imieniu się wypowiada? Wszystkich ochrzczonych? Tych, co dają na tacę? Kościoła jako instytucji? Hierarchii? Dba o własny, także polityczny i ekonomiczny interes? Co to, to nie. Kościół jest poza wszelkimi podejrzeniami (...)

Niedawno trafiłam na tekst, którego autorka przyłapała magmę w chwili, gdy ta zalewa umysły mojego środowiska, czyli feministek. Anna Dzierzgowska donosi w nim o niedawnej wizycie przedstawicielek Kongresu Kobiet Polskich u arcybiskupa Nycza. Komentuje to dziwne zdarzenie tak:

„(...) każda wizyta u arcybiskupa, każde zaproszenie księdza (nawet najmądrzejszego) do skomentowania jakiejś ważkiej sprawy, przekłada się na umocnienie ogólnego przekonania, że żadna debata publiczna w Polsce nie może się bez tego głosu Kościoła katolickiego obyć. Jeśli w jakiejś sprawie politycznej zasięgamy opinii Kościoła, legitymizujemy tym samym prawo Kościoła do wyrażania politycznych opinii. I tak tkwimy w tym błędnym kole, sami i same zezwalając naszymi działaniami na to, co nieodżałowanej pamięci Tadeusz Boy-Żeleński nazywał niegdyś okupacją Polski”.

No właśnie. Ja to nazywam magmą, ale na jedno wychodzi.

Magma to nie tyle sam dyskurs kościelny, co powszechna w Polsce, a zarazem nader rzadko opisywana, gotowość do uznawania tego dyskursu za punkt odniesienia w kwestiach aksjologicznych i to nawet przez tych, którzy w gruncie rzeczy się z Kościołem nie zgadzają. Kluczowe miejsce w tym powszechnym potakiwaniu zajmują deklaracje miłości i szacunku do Jana Pawła II, a także żałoba po nim. Są to rytuały społeczne, w których uczestniczą wszyscy – od dzieci w przedszkolach po kibiców piłkarskich. Niedawno zetknęłam się ze wzmianką o szacunku i sympatii do Jana Pawła II w omówieniu pewnej współczesnej polskiej powieści pornograficznej, postmodernistycznej i wielce przełomowej. Najpierw dowiaduję, że jest to „zapis bloga tajemniczej Arundati... markiza de Sade w spódnicy i samonośnych pończochach”. Po chwili zaś czytam, że skandalistka „lubi JP II” za „pasję i wierność (...), mądry patriotyzm”, a przede wszystkim za oswojenie nas „ze starością, niedołęstwem i umieraniem (...)”. I już odehciewa mi się grzesznej lektury. Zapewne jestem nietolerancyjna, wszak JP II lubić wolno każdemu, także skandalistce i postmodernistce. Kłopot jednak w tym, że hołdy składane JP II nie mają charakteru przemyślanych deklaracji światopoglądowych, lecz są częścią obyczaju, myślenia potocznego. Wyznaczają granice tego, co przychodzi do głowy – nawet, jak się okazuje, skandalistce. Dyskurs kościelny nie przemawia do Polaków, ale mówi nimi, często wbrew im samym.

W szczególnie bolesny sposób dotyczy to kobiet, bo to, co mówi o naszych ciałach i aspiracjach Kościół, jest w znacznej mierze zaprzeczeniem kobiecych odczuć i pragnień. Gdy słyszę, jak młoda dziewczyna usiłuje bronić prawa kobiet do aborcji, używając jednocześnie określenia „życie poczęte”, to wiem, że z jej ust płynie magma. Gdy czytam na forum internetowym o niepłodności, jak kobiety zmagają się z poczuciem „grzechu”, jednocześnie decydując się na kolejny zabieg *in vitro* w nadziei na upragnione dziecko, wiem, że magma jest w stanie wrzenia. Gdy słyszę, że organizatorki Kongresu Kobiet Polskich złożyły w moim między innymi imieniu przyjacielską wizytę w pałacu arcybiskupa, myślę z rezygnacją, *no tak, magma, magma, magma*.

Z mediów napływają właśnie doniesienia o obowiązkowych pochówkach dla płodów, które wykonuje się – na koszt państwa i bez zgody pacjentek, które poroniły – w państwowych szpitalach. W samych Kielcach takich pochówków było w tym roku dwadzieścia dziewięć (z czego w zaledwie sześciu przypadkach była to decyzja rodziców). Czytam dalej, przecierając z niedowierzaniem oczy, jak wygląda taki pogrzeb bez rodziców. „Jest trumienka z imieniem i nazwiskiem, i data śmierci, ciała są przeważnie zamknięte w słoiczku lub pojemniku, jest ksiądz, który dokonuje pokropku, i moi pracownicy – opowiada Dariusz Toborek, kierownik cmentarzy komunalnych w Kielcach.” Czytam ten opis raz jeszcze, by się upewnić, że dobrze zrozumiałam. Za oknem szumi wiatr, ale jeśli wsłuchać się dobrze, można usłyszeć bulgot magmy: *Polska jest krajem katolickim. Polska jest krajem katolickim. Polska jest krajem katolickim.*

Źródła i inspiracje:

Film *Podziemne państwo kobiet* w reżyserii Claudii Snochowskiej-Gonzales i Anny Zdrojewskiej, Grupa Filmowa Entuzjastki, 2009.

Roman Dmowski, *Kościół, naród i państwo*, 1927. Cytuję za Wikipedią.

Dyskusja o chrztach na forum *Rodzice Radzą*:

www.rodziceradza.pl/Czy_musze_ochrzcić_dziecko,q,60507.html

Anna Dzierzgowska, *Parytet biskupa*, www.feminoteka.pl/readarticle.php?article_id=732

Kinga Dunin, *Czarny ford i dwugłowe ciele, czyli Polak idzie do Unii*, [w:] „Res Publica Nowa”, 2002, 165 (XV) (2002), s. 29-36.

Angelina Kosiek, Agnieszka Drabikowska, *Prawo czy obowiązek pochówku?*, [w:] „Gazeta Kielce”, 5.10.2009:

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80269,7109052,Prawo_czy_obowiazek_pochowku.html

Kościół, Michnik, Dialog – zapis spotkania w klubie „Goście Gazety”, [w:] „Gazeta Wyborcza”, 16-17.05.2009, s. 18.

Sergiusz Kowalski, *Krytyka solidarnościowego rozumu. Studium z socjologii myślenia potocznego*, Wydawnictwo PEN, Warszawa 1990.

Sabina Kwak, recenzja książki Arundati, *Terapia narodu za pomocą seksu grupowego*, <http://www.granice.pl/recenzja.php?id=5&id3=2038pt>

Adam Michnik, *Kościół Lewica Dialog*, Biblioteka „Gazety Wyborczej”, Warszawa 2009.

“List Stu Kobiet” (04.02. 2002) – tekst dostępny na stronie: http://pl.wikisource.org/wiki/List_Stu_Kobiet

Omówienia prasowe badań nad sytuacją niewierzących w Polsce przeprowadzonych przez Radosława Tyrałę z Katedry Socjologii Ogólnej i Antropologii Społecznej AGH.

Magdalena Środa, *Kobiety, Kościół, Katolicyzm*, w: *Czarna księga kobiet*, red. Christine Ockrent, W.A.B, Warszawa 2007.

* Tekst powstał w ramach projektu Przedstawicielstwa Fundacji im. Heinricha Bölla w Polsce „Religia, polityka i płeć”.

Dr Agnieszka Graff jest adiunktem w Ośrodku Studiów Amerykańskich, UW, gdzie prowadzi zajęcia z zakresu literatury i kultury amerykańskiej. Od lat uczy też w ramach Gender Studies UW. Absolwentka Amherst College, Oksfordu i Szkoły Nauk Społecznych przy IfiS PAN (doktorat: 1999); autorka dwóch książek: *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym* (2001) i *Rykoszetem. Rzecz o płci, seksualności i narodzie* (2008) oraz licznych artykułów poświęconych myśli feministycznej, płci w kulturze popularnej i ruchowi kobiecemu w USA i w Polsce. Współpracuje z Fundacją Helsińską, jest członkinią zespołu Krytyki Politycznej.